

UCZENIE DIABLA należy do słabszych sztuk Shawa. Mimo to, nie można wystawienia jej w Polsce, a ostatnio w Warszawie, uważać za niepotrzebne. Sztuka wprawdzie miejscami ma efekty operetkowe, a często, co gorzej, przypomina melodramat, ale potem nagle przychodzi taki ładunek kpiarskiego dowcipu, że nestrój, wytworzony przez melodramat, dostaje jakby uchodem po łbie, i dochodzi się do przekonania, że nawet kiepskiego Shawa warto grać i zobaczyć.

Problem sztuki nie jest nowy. Marno trawny syn, łobuz i obieżyświat, okazuje się nagle szlachetnym człowiekiem, jego środowisko zaś, obłudne i purytańskie mieszczaństwo, na zewnątrz pełne cnót chrześcijańskich, jest podłe, małe i tchórzliwe, dba tylko o swe własne życie i pieniądze. Ale czy całe? Tak by pewnie było, gdyby sztuki nie napisał Shaw. Wtedy skończyłaby się rzeczywistość melodramatem, którym tu się kończy drugi akt: ten, którego świat uważa za łotra, bierze na siebie rolę pożądanego przez żandarmów pastora, idzie na śmierć, wzruszony i nawrócony przez ludzką postawę pastora Andersona, a trochę i przez piękne oczy pani pastorowej. Ten zaś, który dotąd był po prostu wzorem wszelkich cnót, dowiedziawszy się, jaką ofiarę pomógł dla niego ten nicpoń Dudgeon, nie ma bynajmniej zamiaru wyrzec się tej ofiary, myśli tylko o ratowaniu swego życia i wymawia nawet słowa, bluźniercze w ustach pastora: „Co mi tam Bóg!”

Ale to byłoby zakończenie tak niepodobne do Shawa, że nawet publiczność nie uwierzyła w nie i z niecierpliwością

Recenzja teatralna

„Uczeń diabła” G. B. Shawa

czekała na rozwiązanie w 3 akcie. I ten trzeci akt — mimo, że i dwa poprzednie obfitują w świetne humorystyczne momenty — to dopiero prawdziwy shawowski śmiech, śmiech ze wszystkiego i ze wszystkich. Bo oto okazuje się, że pastor, którego nawet żona wykleła ze swego serca jako tchórzka i zdradę, uciekł nie w obronę własnej skóry, lecz zorganizował bunt w sąsiednim miasteczku i przychodzi w ostatniej chwili, by ratować przyjaciela i jako wysłannik powstańców wypędzić wojska angielskie.

Na scenie pozostaje przede wszystkim głupota wojsk i urzędników JK Mości. Ale czy tylko? Zwycięża wprawdzie onota, ale zwycięża tak, że najlepiej charakteryzują ją słowa, wypowiedziane przez „ucznię diabła”: „Biażen i bohater, to właściwie wszystko jedno”. Wzniosły pastor przemienił się nagle w dzielnego i wesolego chłopaka, chce pozostać kapitanem wojsk powstańców i idzie z żoną do domu. A Dudgeon? Cieszy się, że żyje, na pewno się nie zmieni, i nie rozstrzygnięty pozostał problem, kto jest lepszy: wyznawca Boga, czy wyznawca diabła.

Moment patriotyzmu był Shawowi w sztuce potrzebny konstrukcyjnie, ale nie psychologicznie. Toteż wydaje się ten pa-

triotyzm nieprawdopodobny i u Ryszarda Dudgeona, który przedtem wszystkim innym się zajmował, tylko nie walką o ojczyznę, i nawet u pastora, w którym chęć do walki budzi się dopiero wówczas, gdy zagrożone jest życie Dudgeona, a tym samym jego, pastora, honor. To nieprawdopodobieństwo psychologiczne stwarza chwilami wrażenie bufonady, która byłaby niestrawna, gdyby te sceny nie dawały Shawowi okazji do pokazań nie drugiej strony — świetnie spardionowanych postaci brytyjskiego wojska i sądu. Nieomniast nic nie lagodził czysto melodramatycznych po prostu scen I i II aktu. Te akcenty należałoby raczej stuszczać, ale gesty i głosy artystów niekiedy jeszcze je przejąskrawiają. Zwłaszcza przesadzony jest koniec pierwszego aktu, który zaczyna się tak ładnie dickensowską, powiedziałabym, atmosferą.

Tu przesadna melodramatyczność jest jedyną pretensją, którą można mieć do reżyserii. Poza tym Dobiesław Damiński stara się wypuklić przede wszystkim te momenty, kiedy Shaw stawia znak zapytania nad wszystkim, przyjętymi kanonami moralności społecznej, i to jest najlepsze, co można było w tym wypadku zrobić. Zdaje się, że przedstawienie zyskałoby, gdyby opadła końcowa sce-

na z wywieszeniem flagi amerykańskiej. Mimo wielu patetycznych słów o walce i wyzwoleniu nastrojów jest tak mało bojowy, że ten efekt nie może być traktowany poważnie, a komediowo też nie działa.

Do Damińskiego jako aktora (Ryszard Dudgeon) odnosi się wszystko wyżej powiedziane o jaskrawym melodramacie. Jest świetny tam, gdzie wymyśla światu, kpiąc z niego — gdy głosi swą wiarę jako fanatyk diabła, nie przekony wuje o swej wewnętrznej racji i traci sympatię, które zdobywa dla niego matka i jej środowisko. W drugim akcie jest za mało opanowany, zanadto się tniotła, by można było uwierzyć w motywy tej dobrowolnej ofiary. Dopiero w trzecim akcie stworzył postać jednolitą i bez zarzutu.

Kazimierz Wilamowski (pastor Anderson) miał rolę bardzo trudną: metamorfozę z poważnego pastora na dziarskiego wojaka, Pastora, łagodny, dobry, przepełniony poczuciem obowiązku i miłością bliźniego, był odegrany świetnie, tak samo wybuch pasji przy końcu drugiego aktu. Kapitan natomiast wypadł blado.

Doskonałą panią Dudgeon była Helena Gruszecka. Taka matka rzeczywiście może doprowadzić swą rodzinę do bun-

tu, do rozpaczy, może lamąć ludzi tak, jak złamała młodszego syna. Była wprost skamienią w swej potwornej jeźdźkowości, i nawet, kiedy wspominała swą młodzieńczą miłość i nieszczęśliwe małżeństwo, nie skuliło to jej do cieplejszego tonu, co by złagodziło jej sylwetkę.

Irena Górka (Judytą Anderson) trochę zbyt pastelowa. Początek drugiego aktu odegrała z humorem, a e robiła raczej wrażenie zmieszanej pensjonarki niż kobiety, która coś przeżywa.

Jan Nowicki (Krzysztof Dudgeon) wykazał talent w kierunku groteski. Był jednak trochę za cyrkowy, elementem gizmu jego roli, podkreślony na początku, zatracił się później.

Trudno coś powiedzieć o Anusiakównie, która miała przecież grać dziecko. Jeżeli zahukana i zalekniona dziewczynka gra dorosłą kobietą z twardą i głosem dorosłej kobiety, to nie może ona wzruszać.

Bardzo dobry Osto - Suski jako major Swinton i Dzięwoński jako generał Burgoyne. Fertner, Sendecki, Apa, Kossakówna i Jaszczottowa stworzyli świetne typy strasznych mieszczań.

Kostiumy i dekoracje St. Cegleńskiego utrzymane w stylu, tylko wnętrza mieszkań wydają się zbyt ubogie na tych ludzi, Szczupłość sceny sprawiła niestety, że tłum, napierający na żandarmów przy egzekucji, jest za delikatnie zamalowany.

Należy jednak przyznać, że przy tych skromnych środkach zrobiono wszystko możliwe, by Warszawa miała wreszcie swój drugi teatr na poziomie. Należy się za to uznać dyrekcji teatru i reżyserowi.

E. KOSTECKA